Współczesny Mesjasz

Od dziewięciu już godzin był w drodze i był potwornie zmęczony. Ale nie czas w niej spędzony przygnębiał go i odbierał siły, dużo bardziej bolesna i rozczarowująca była jego porażka. Nikogo nie pozyskał dla swojej idei, więc tak rozumiał i przyjmował efekt swojej pracy – właśnie jako porażkę. Czuł żal i rozgoryczenie, a tym było ono większe, im więcej musiał zamykać za sobą drzwi. Chociaż, z drugiej strony, to i tak dobrze, że mógł je zamknąć. W końcu więcej było takich, którzy w ogóle nie pozwalali mu na przekroczenie progu swojego domostwa. I albo wtedy bezskutecznie produkował się przed na wpół otwartymi drzwiami, co zresztą przeczuwał już podskórnie zanim otworzył usta, albo w ogóle nic nie mówił, bo nie było do kogo – nikt nie chciał go słuchać. A drzwi dzisiaj, zamkniętych przed jego słowem, przed dobrą nowiną jaką głosił, było niemało. Dlatego do zmęczenia drogą, dołączyły również frustracja i rozgoryczenie. Miał wszystkiego dosyć i pragnął tylko jednego: odpoczynku. Więc gdy zamajaczyły przed nim, w wieczornym świetle przydrożnych latarni drzwi miejsca, które dobrze znał, postanowił wejść i…

Wnętrze nie było duże, ale wypełnione ludźmi po brzegi – chociaż tak naprawdę nie było ich znowu tak wielu. W powietrzu unosił się zwykły rybi zapach, jak we wszystkich tego typu miejscach, gdzie sprzedaje się taki właśnie towar. Panował niezbyt głośny gwar. Prawdopodobnie atmosfera świąt usposobiła wszystkich nostalgicznie i równie skutecznie wyciszyła. Po chwili w ów panujący we wnętrzu klimat, pełen filozoficznej zadumy, wdarł się niczym intruz głos przybysza:

– Pokój temu do… – Nie dokończył, błyskawicznie się zreflektował i rozpoczął raz jeszcze: – Pokój temu pomieszczeniu. Oczywiście że pomieszczeniu. No przecież. Zatem, dobrzy ludzie, szczęść Boże!

Rozległ się szmer, lecz nikt mu nie odpowiedział. Nieufność tych ludzi wypisana była na ich twarzach. Nieznajomy uważnie je zlustrował, po czym rzekł:

– Wigilia jutro, a wy drogi swojej nie widzicie i prawdy nie znacie, bracia moi.

Zebrani w pomieszczeniu ludzie spojrzeli na siebie zdziwieni, ale nadal żaden z nich nic nie powiedział. Zapewne dlatego nieznajomy, nie zrażony ciszą, ciągnął dalej:

– Kawał dziś drogi pokonałem, żeby tu do was dotrzeć. I powiem wam, że warto, bo słowo, z którym przybywam, objawi wam właściwą drogę. Powiadam wam zatem – porzućcie sieci wasze i domostwa swoje, i pójdźcie za mną, a żołądki wasze nigdy puste nie będą i domy wasze tam będą, gdzie i wy staniecie. Wynijdźcie na drogę pokory i prawdy jedynej, bo objawionej. Nadszedł najwyższy czas, żeby przestać błądzić!

Umilkł. Przez chwilę jakby się wahał, zbierając myśli, ale akurat tyle czasu wystarczyło zebranym tam ludziom, żeby otrząsnąć się z konsternacji, jaka nimi niespodziewanie zawładnęła podczas jego przemowy. W momencie, gdy znowu chciał zabrać głos, podzielić się ze wszystkimi tą jedyną objawioną prawdą, dwóch rosłych, silnych mężczyzn, zostawiwszy na ladzie swoje siatki, wyszli z kolejki, ujęli energicznie nieznajomego pod pachy i wyprowadzili na zewnątrz sklepu, zrzucając go prosto w

nieprzerwanie rosnącą od czterech godzin kołdrę śniegu. Legł w niej bezwładnie, jak pijany u płotu.

Leżał w niej jakiś czas nieruchomo, jakby niespodziewanie zastygł. Następnie wstał, otrzepał się z drobin skrzącego się śniegu, spojrzał z nieskrywanym wyrzutem raz jeszcze na ów rybny sklep, gdzie tak niegodziwie go potraktowano, po czym mrucząc coś niezrozumiale pod nosem, powędrował w zbliżającą się coraz szybciej i wyraźniej ciemność nocy, nie wiedzieć dokąd i po co.

09. 12. 1990 r.